Grzegorz Zalewski: * Nie pozwolę ci zniknąć * czyli Życie ojca po życiu syna

Czy można przeżyć śmierć?

Można. Ja przeżyłem.

Śmierć własnego syna.

(Grzegorz Zalewski)

Można by ten trójwiersz-wyznanie uznać za motto książki "Nie pozwolę ci zniknąć", mojej lektury ostatnich kilku dni i nocy październikowych, głównie nocy, a dokładniej końców nocy przed świtaniem, gdyby nie to, że otwiera ostatni, a nie pierwszy rozdział, zatytułowany "Życie po śmierci". Rozdział ten zamyka opowieść, ale nie odbiera nadziei. Autor przywołuje w nim japońską sztukę kintsugi.

Słowo *kintsugi* - □□□ - znaczy dosłownie "złote łączenie". Jest to technika sklejania stłuczonych ceramicznych naczyń przy pomocy laki z dodatkiem sproszkowanego złota, srebra, platyny, rzadziej miedzi czy brązu. Po takiej naprawie naczynie zyskuje na wartości i z powodu ceny uszlachetnionej spoiny, i z powodu kunsztu artystystycznego osoby posiadającej tę umiejętność, sztuki wymagającej wyobraźni, cierpliwości i precyzji.

Tak "uratowane" naczynie staje się oryginalnym artefaktem, cennym dziełem sztuki. Żyłki złota czy srebra na połączeniach skorup to wartość dodana przedmiotu. Czy po stracie tak ostatecznej jak śmierć dziecka, gdy życie osieroconych rodziców rozsypuje się na kawałki, daje się je posklejać od nowa? I to tak, żeby nie było "jakoś", ale żeby było w tym nowym życiu "dobrze"? Lepiej nie będzie, będzie inaczej, ale cierpliwe, staranne pielęgnowanie pamięci zmarłej osoby, może to życie po życiu wzbogacić, a nie zubożyć? Ostatnie zdanie książki zdaje się to potwierdzać: "...uzbroję się w lakę i stworzę z tego nasze kintsugi".

Od wiosny tego roku, odkąd przechorowałam COVID, robię się wieczorami tak śpiąca, że czasami nie jestem w stanie dotrwać do końca Faktów, przenoszę się więc do sypialni, nawet jeśli planowałam obejrzeć coś z wczesnych wieczornych telewizyjnych propozycji, i zasypiam na kamień. Za to budzę się nad ranem jak nowa i najpierw sięgam po smartfon, ciekawa, co też wydarzyło się na fejsbuku w czasie, gdy byłam kamieniem, po czym sięgam po książkę i ołówek.

Od wielu już lat, odkąd zdałam sobie sprawę z tego, że książki już nie są tak bezcenne, jak się to wpajało dzieciom w moim dzieciństwie i w co długo wierzyłam, aż któregoś dnia zdałam sobie sprawę, że książki stały się produktami i, tak jak wszystkiego w społeczeństwie konsumpcyjnym produkuje się za dużo, tak i książek, czytam książki z ołówkiem w ręku, w końcu są moje, mogę po nich kreślić, zostawiać swoje znaki, pewnie i tak po mojej śmierci pójdą na przemiał. Mam swój kod znaków i bardzo mi to pomaga przy ponownym zaglądaniu do książki, żeby sobie

to, czy tamto przypomnieć.

Zaznaczam szczególnie ważne, dowcipne lub odkrywcze zdania, ale też nazwiska, fakty, tytuły wspomnianych przez autora lektur, filmów, melodii, piosenek... Niektóre znam, inne chcę, lub przynajmniej chciałabym poznać. Odkąd jest taka technologiczna możliwość, nie tyle czytam książki, ile je przepracowuję multimedialnie, od 12 roku życia "wychowanka" Lema i jego futurologicznego rozmachu, żyję w dawno wypatrywanej przyszłości: Internet stworzono dla mnie!

Cóż, zabiera mi to więcej czasu, niż "zwykłe" czytanie, ale przecież czas, Czas, to jest coś, co należy do mnie, ja nim rozdysponowuję. A już szczególnie czas nad ranem, latem dzielony z krzątającymi się za oknem ptakami, jesienią ciemniejący i tężejący w ciszy z coraz bardziej chmurnym niebem nad Krakowem. A lato tego roku, lato 2021, było tak inne niż wszystkie poprzednie, inne nawet, niż to pierwsze pandemiczne lato 2020, jakby nad światem wisiało jakieś fatum, jakiś 1 września 1939. Upały, ulewy, powodzie, susze, pożary, trzęsienia ziemi, tajfuny, huragany, w skali makro i mikro, bo globalnie i w moim własnym świecie, w życiu bliskich mi osób...

1 września 2021 wojna wprawdzie nie wybuchła, ale nie wytrzymała i jednak trochę później wybuchła, nazywa się ją teraz hybrydową. U wschodnich granic UE, czyli naszych, polskich. Dramat uchodźców rozgrywa się teraz nie gdzieś tam na Lesbos czy, hen, na Lampeduzie, ale tu, u nas, w naszych lasach. 1 września był więc, powiedzmy, normalnym pierwszym dniem szkoły. Dla mnie zresztą o tyle nieistotnym, że z własnego świadomego wyboru nie mam dzieci.

Jednak ten dzień był o tyle i dla mnie dniem istotnym, że w ten dzień EMPiK emitował online spotkanie z prof. Marcinem Matczakiem na okoliczność premiery jego książki "Jak wychować rapera". Ojciec napisał książkę o synu zaznaczając, że jednak jest to "bezradnik", a nie "poradnik".

Gdy pod koniec 2019 roku na YouTubie z wielkim hukiem wystartował utwór rapera Maty "Patointeligencja", natychmiast mnie ten tekst zatrzymał, ba, zachwycił. "A to dopiero!", pomyślałam i opublikowałam filmik na fejsie kojarząc go z wierszem Philipa Larkina "This Be The Verse", publikowanym przeze mnie na fb w czerwcu 2019, a zaczynającym się od słów "*They fuck you up, your mum and dad. / They may not mean to, but they do*".

Wtedy, w czerwcu, posypaly się propozycje tłumaczeń wśród moich fejsbukowych znajomych-poetów, dodałam i ja swoje: *Spieprzyli cię, twój tato z mamą, / nie żeby chcący, tak się stało*. Że dyskusja była żywa, to mało powiedzieć. Że dyskusja po premierze "Patointeligencji" była burzliwa, to nic nie powiedzieć.

Do lata 2021 Mata tak wystrzelił z karierą, że jego raperskie polskie teksty mają swoje tłumaczenia na angielski, co jest ewenementem, a "Patointeligencja" ma na tę chwilę 55 864 377 wyświetleń dookoła świata, teraz, dzień później, gdy kontynuuję pisanie tego tekstu, wyświetleń jest już 55 922 224! A nie mówię, że żyjemy w czasach science fiction? Tzn. dla urodzonych w Erze Informatycznej, aktualne czasy, to czasy normalne, ale dla mnie, znającej czasy głębokiego PRL-u, gdy nawet posiadanie telefonu z tarczą i kablem, było niemalże futurystyczną fantazją, dziś, to czasy naprawdę fantastyczne.

Po wysłuchaniu wywiadu z tatą Maty natychmiast więc zamówilam jego książkę, 7 września ją miałam, a tydzień później zabrałam się do czytania. Jeszcze nie doczytałam do połowy, gdy wokół książki, jej autora i jej bohatera rozpętał się prawdziwy atlantycki huragan (a wiem, co mówię, bo przeżyłam taki na własnej łodzi, nic mnie tak nie wyhuśtało!). Prof. Matczak bronił się jak lew i choć nie zginął, jak mucha, mało brakowało.

W całym tym zgiełku wokół taty Maty i samego Maty jedna recenzja była normalną recenzją książki, a nie personalnym atakiem na ojca i syna. Autor "bezradnika" opublikował ją na swoim profilu fejsbukowym. A napisał ją na swojej stronie "Zalewski o książkach" Grzegorz Zalewski. Ufff. Nie tylko tatę Maty, autora, to ucieszyło, ale także mnie, zwykłą czytelniczkę, więc dopisałam pod recenzją swój komentarz zaczynający się od "Dziękuję za tę recenzję". Jeszcze tego samego dnia, 24 września, pojawiła się pod nim odpowiedź:

A ja dziękuję za ten głos! Obiło mi się coś o uszy o felietonie Podsiadły i zdaje się, że jego słowa to dobre podsumowanie tego co Matczak pisze o dyskusji w Polsce. O tym, że nawet mimo odmiennych poglądów, moglibyśmy dyskutować i się nawzajem inspirować, ale tego nie robimy bo będziemy udowadniać swoją wyższość. Nie jest problemem wyzłośliwianie się publicystyczne (co ostatnio próbowałem pokazać w zupełnie innym kontekście) – to tylko kwestia warsztatu pisarskiego i kilku trików. Ale zdaje się, że tak u nas to działa. Ktoś tam coś napisze i nie dyskutujemy z poglądami, tylko z naszą wizją tego czy lubimy "Matczaka" czy nie.

Po czym zaznajomiliśmy się fejsbukowo, przeszli zgodnie z netykietą na "ty" i wtedy padła ze strony Grzegorza, nie tylko recenzenta, a nawet nie przede wszystkim, ale pisarza i wydawcy, propozycja, czy nie zechciałabym przeczytać jego niedawno wydanej książki z zastrzeżeniem, że jest to książka "trudna, osobista, dotycząca żałoby". Jasne, że zechciałabym! Na czytanie jestem zachłanna.

Kilka dni później, 27 września, miałam ją fizycznie, dostaczoną mi osobiście przez naszego z krwi i kości listonosza z jego rąk do moich rąk. Tytuł "NIE POZWOLĘ CI ZNIKNĄĆ", tak właśnie napisany, wielkimi drukowanymi białymi literami na tle szaroniebieskiego nieba na awersie i rewersie pełnego ptactwa lecącego w kierunku rozwłóczonej u góry nieba bladoszarawej chmury, jakby ptaki właśnie wzbiły się do lotu w chaotycznym zrywie, nim wyrównają klucz.

Ta książka też jest napisana przez ojca o synu, Ojca o Synu. Syn ma na imię Ulisses i już go nie ma wśród żywych, miał 26 lat, gdy zakończyła się jego ziemska odyseja, ściślej: on sam ją zakończył. Zostali bezradni wobec tak przeciwnego naturalnemu porządkowi rzeczy rodzice. Osieroceni przez syna. O tym, jak sobie radzą, jak radzi sobie ojciec, jak to jest, gdy "jest możliwe umrzeć" - jak stwierdza w powieści "Pani Dalloway" Virginia Woolf, co w blurbie na odwrocie "Nie pozwolę ci zniknąć" cytuje Iza Klementowska (info: reporterka).

To druga wydawnicza zachęta na okładce, pierwsza zaczyna się od słów "Grzegorz Zalewski uchyla drzwi do świata męskiej żałoby..." a napisała ją Justyna Wicenty (info: autorka "Kołysanki z huraganem", no, proszę, to już trzeci "huragan" w tak krótkim tekście! jak huragan za huraganem w jednym sezonie!). Tak, być może jest to świat "męskiej" żałoby, bo dzieli się nim mężczyzna. Jednak teraz, gdy jestem już po lekturze, wiem, że jest to świat żałoby Grzegorza Zalewskiego, ale czy znaczy to, że ogólnie "męskiej"? Moja, "żeńska, kobieca", wygląda po bliskich mi zmarłych podobnie, bo nie lubię rytuałów, żałobnej ostentacji, pielęgnowania grobów, wolę pielęgnowanie pamięci.

Jak bowiem czytam we wprowadzeniu samego autora i z czym się zgadzam: "W książkach często pojawia się stwierdzenie płynące z ust specjalistów - nie ma jednego sposobu na przeżywanie żałoby". Nie sądzę, żeby można było dzielić przeżywanie żałoby po linii płci, choć faktycznie, o czym też sporo w książce, tradycyjnie kobiety śmierć bliskich zajmuje bardziej niż mężczyzn, tradycyjnie bardziej zdystansowanych. Autor dyskutuje z tym utartym poglądem. Też dyskutuję: kobiety siłą rzeczy bliżej są konkretu, fizyczności życia, mężczyźni, abstraktu, duchowości życia, ale, tak jak płeć, tak i psyche okazują się być bardziej płynne, niż dotychczas sądzono, a na dobitek w dzisiejszych czasach mocno zweryfikowano.

Najogólniej: im dłużej żyję, tym bardziej widzę, jak bardzo my, ludzie, jesteśmy różni i jak bardzo różne są wszystkie nasze światy, jeden człowiek, to jeden świat, miliardy ludzi to miliardy światów. Niby mamy to samo DNA i to tylko o kilka procent różniące się od innych ssaków, ale im większe zbliżenie, tym różnorodniej się robi. Nauka, socjolodzy, psychologowie próbują to jakoś uporządkować, poklasyfikować, ale im bardziej się starają, tym mniej im się udaje.

W roku 1967 dwaj amerykańscy psychiatrzy Thomas Holmes i Richard Rahe opracowali skalę stresogennych wydarzeń w życiu od 0 do 100 wprowadzając pojęcie stresora, czyli zdarzenia lub bodźca wywołującego poczucie stresu. Istotną pomocą w radzeniu sobie ze stresorami jest poczucie kontroli nad tym, co się dzieje. I odwrotnie, poczucie bezradności pogłębia stres, powoduje lawinowy spadek sił życiowych. Długotrwałe poczucie stresu może prowadzić do poważnych chorób, załamania nerwowego, depresji, wyniszczajacych psychikę myśli samobójczych, a nawet samobójstwa. Na skali Holmesa-Rahe'a umowne 100 punktów to śmierć współmałżonka.

Hm, to zaskakujące, ja, było nie było osoba bezdzietna, ustanowiłabym 100 punktów dla śmierci dziecka, przy całym bólu utraty partnera/współmałżonka. I rozbiła te 100 punktów na podpunkty: 1. zaginięcie dziecka (bo wyobrażam sobie, że nie ma gorszego stresu, jak niewiedza, co się stało i dalsze życie z tą niewiedzą); 2. samobójstwo dziecka; 3. nagła śmierć dziecka w wypadku; 4. śmierć dziecka z powodu choroby. Śmierć dziecka jest odwróceniem strzałki czasu i chyba nie ma nic bardziej nienaturalnego, a więc najbardziej bolesnego. Dla rodziców to koszmar, gehenna, piekło.

Chociaż tak naprawdę nie ma słów na opisanie takiego bólu. Tak jak mapa, to nie terytorium, tak opis, to nie ból. A jednak nie da się bez mapy podróżować. I nie da się bez słów opisać bólu. Dlatego są ludzie, którzy podejmują takie próby po śmierci dziecka, partnera, czy innej bliskiej emocjonalnie osoby. Prozą, wierszem, spontanicznym zapisem w intymnym dzienniku... Gdy latem 2002 roku pracowałam w krakowskiej Gazecie Wyborczej, cała redakcja wstrzymała oddech na wieść o tym, że mieszkający wtedy w Krakowie Czesław Miłosz, lat 91, leci do Kalifornii odwiedzić leczącą się tam chorą żonę, Carol, lat 58.

Gdy wrócił, był już po pogrzebie żony. Dzieliły ich 33 lata. Nikt się nie spodziewał takiego nieszczęścia (Miłosz został po raz drugi wdowcem, jego pierwsza żona, Janina, starsza od niego o 2 lata, zmarła w 1986 roku w wieku 77 lat). Wkrótce po śmierci Carol napisał jeden z najbardziej przejmujących swoich wierszy, "Orfeusz i Eurydyka". Poemat zaczyna się tak:

Stojąc na płytach chodnika przy wejściu do Hadesu / Orfeusz kulił się w porywistym wietrze, / Który targał jego płaszczem, toczył kłęby mgły ,/ Miotał się w liściach drzew. Światła aut / Za każdym napływem mgły przygasały.

Czy w jakikolwiek sposób sublimacja bólu w wiersz mu pomogła? Żył jeszcze całe dwa lata, słabnący, schorowany, ślepnący, głuchnący. Obolały fizycznie i psychicznie. Wokół niego prawie nieustannie wymieniało się dziewięć osób. Czy którekolwiek z nich, jego syn, synowa, sekretarka, terapeuta, pielęgniarki, gosposie, napisałoby coś takiego w podobnej sytuacji? Ależ skąd! Tylko on jeden! Mógł zamilknąć, mógł pisać, był poetą. Ból może jest porównywalny, choć nie ma sposobu na mierzenie go, ale reakcja na ból, próba radzenia sobie z nim, opisywanie go, to już zupełnie inna sprawa.

Grzegorz Zalewski opisuje swój sposób na męczarnię żałoby: antidepresiva, alkohol, samotne spacery, las, ptaki, fotografia, sen, no i pisanie... pisze: *...często okazuje się, że nie ma znaczenia, kogo straciliśmy. To zupełnie nie podlega wartościowaniu. Być może to jeden z niewielu momentów w życiu, gdy rozumiemy, że nie ma znaczenia, czy ktoś może mieć lepiej, czy gorzej, być w mniejszym lub większym smutku. Każdy ból będzie odmienny i każdy może być bezgraniczny. Z*upełnie inaczej radzi sobie jego żona, A., matka Ulissesa, choć oboje podobnie płaczą.

W językach bliżej związanych z kulturą śródziemnomorską, grecką, rzymską, słowo "sierota" jest bezpośrednio spokrewnione z Orfeuszem i oznacza kogoś, kto jest pogrążony w smutku. Po grecku to *ορφανό* [orfano], po włosku jak po grecku, *orfano*, angielsku *orphan*, po hiszpańsku *huérfano*, po portugalsku *órfão*, ciągle ten sam temat. A po polsku inaczej, sierota, a to od dawnego *sirota*. To z kolei od przymiotnika prasłowiańskiego *sir*, zapisanego w staro-cerkiewno-słowiańskim *sirъ*, samotny, osierocony, i przyrostka *-ota* (przyrostek tworzący rzeczownik od przymiotnika, oznaczający cechę opisywaną przez ten przymiotnik, lub będący określeniem osoby bądź rzeczy, do której odnosi się wyjściowy przymiotnik, jak *idiota*).

Pamiętam film z roku 2004 o tytule "Drzwi w podłodze". Małżeństwo (Kim Basinger i Jeff Bridges) w średnim wieku straciło w wypadku samochodowym dwóch dorastających synów. Żeby się z tym jakoś uporać, decydują się na nowe dziecko, rodzi się dziewczynka, w filmie już kilkulatka. Nic nie poradzi na dramat rodziców, ale matka mało się nią interesuje, a ojciec choć się stara jak może, nie bardzo może, bo ostro pije i jeszcze ostrzej romansuje. Ani strata synów, ani kolejne dziecko nie zbliżają pary do siebie. Wręcz przeciwnie, po wypadku każde staje się kimś innym, niż było przed, i ci odmienieni żałobą nie do udźwignięcia małżonkowie stają się sobie obcy, a nawet wrodzy.

Rodzice Ulissesa nie stają się sobie obcy, ale utratę syna przeżywają zupełnie inaczej. Matka dużo rozmawia przez telefon, opowiada każdemu chętnemu o śmierci syna i relacjonuje, co czuje, dopatruje się znaków w przypadkach, ojciec milczy, zaniedbuje pracę zawodową (jest ekspertem Domu Maklerskiego Bank Ochrony Środowiska), nie wierzy w koincydencje, w końcu jednak niejako "zakłada buty" zmarłego syna i, by go lepiej zrozumieć, idzie jego "śladami", i jak on, zaczyna się interesować ptakami, godzinami potrafi je obserwować, fotografować...

Kiedyś, za młodu, interesowała go natura, potem wessała praca, dziś znów wraca, a właściwie ucieka do natury. To ta laka ze złotym proszkiem, którą dostał w spadku po synu i którą wytrwale klei rozbite na kawałki życie. Profesja, profesjonalizm, czy to nie ślepy zaułek zabierający ludziom radość życia? Czy szybciej, więcej, wyżej to jedyny możliwy sens życia, pyta?

Ulisses zdecydował się przerwać swoją drogę wśród żywych w niedzielę, 3 listopada 2019 roku. Nie wiadomo, jaki egzystencjalny ból go do tego skłonił. Że była to świadoma decyzja, to raczej pewne, bo wszystko skrupulatnie przygotował, usunął wpisy w sieci, na fejsbuku, zostawiając jedynie hasła i klucze, i skoczył z balkonu, poszybował

wśród "swoich" ptaków. Czy przez ostatnie sekundy życia, gdy był już w powietrzu, pożałował tego kroku, czy cofnąłby się, gdyby mógł? To nie ja, czytelniczka, pytam, to jego ojciec stawia sobie to pytanie.

Regularnie dokarmiał ptaki, w jego szufladach były popakowane w woreczki zapasy orzechów laskowych (na które miał alergię) dla ptaków, czy nie zrobiło mu się żal ptaków, które nadaremno będą krążyły nad jego balkonem? Czy nie żal mu było rodziców, których zostawił żywych z bólem trudnym do udźwignięcia, podczas gdy on skrócił swój ból?

Na wiosnę roku 2001, gdy mieszkałam jeszcze w Zurichu i pracowałam w podzuryskiej redakcji (na swoich warunkach, bo wiele miesięcy w roku spędzałam na łodzi, na morzach i oceanach), przyjaźniłam się z pewnym małżeństwem, on Szwajcar, psychiatra, ona Polka, właścicielka biura tłumaczy - czasami i ja dostawałam od niej jakieś teksty do tłumaczenia, mieszkałyśmy blisko siebie, często się spotykałyśmy, chodziłyśmy razem na spacery nad Jezioro Zuryskie z naszymi psami. Jej dorastająca córka zaczynała pisać wiersze (po niemiecku), przysyłała mi czasami mailem "do oceny". Chwaliłam je, bo były nad wyraz udane, dojrzałe, ale prosiła mnie o dyskrecję. Przypominała mi bardzo młodą Virginię Woolf, wysoka, smukła, nad wiek poważna. Myślałam, zostanie poetką, pisarką, ma niezwykłą przyszłość przed sobą...

Któregoś czwartku wskoczył mi w czasie pracy kolejny jej wiersz, przeczytałam dopiero późnym wieczorem w domu, odebrał mi sen. To był wiersz o fascynacji śmiercią. Zaniepokoił mnie tak bardzo, że na następny dzień postanowiłam porozmawiać o tym moim niepokoju z jej mamą. 15-latka to już nie dziecko, ale jeszcze nie dorosła osoba, tłumaczyłam sobie zwalniając się z danego słowa. Zadzwoniłam do mojej przyjaciółki i powiedziałam jej, że trochę się obawiam o stan psychiczny córki, coś za czarne te jej wiersze, może zajrzy do jej komputera i zobaczy, co tam się dzieje. Odpowiedziała, że nie może zawieść zaufania córki. Oczywiście uszanowałam to, sama miałam podobne zastrzeżenia.

Potem była sobota, niedziela... W poniedziałek koło południa zadzwoniła do redakcji nasza wspólna koleżanka, S. nie żyje, popełniła w niedzielę samobójstwo, rodzice znaleźli ją w poniedziałek rano po powrocie z gór, gdzie spędzili weekend. Natychmiast się zwolniłam i pojechałam do nich... w podmiejskim pociągu, w tramwaju... z trudem ukrywałam łzy. Jej ojciec, jak już mówiłam, psychiatra, pracował na oddziale dla niedoszłych samobójców, być może to jakoś podświadomymi kanałami na nią podziałało? Policja oczywiście zajrzała do komputera, złamała hasła. Śledztwo wykazało, że S. była w grupie, która typowała do samobójstwa i celebrowała wirtualnie samobójstwa, ktoś skądś brał i podsyłał truciznę. Zajęły się tym media, szkoły, nauczyciele robili pogadanki...

W gazetach przy wiadomości o śmierci i pogrzebie jeden z wierszy S., była przecież młodą poetką. Pogrzeb... cały cmentarz płaczącej młodzieży, bo przyszło wielu uczniów czy znali S., czy nie, i my, milcząca zbita grupka wokół milczących udręczonych rozpaczą, tabletkami uspokajającymi i załatwianiem wszystkich formalności rodziców. A dookoła rozkwitająca wiosna, świergot uwijających się ptaków...

Kolejne dochodzenia wykryły, że S. już po zażyciu trucizny zadzwoniła na pogotowie. To było niedzielne popołudnie, pani operatorka podała jej kontakt do lekarza dyżurnego. Dlaczego nie zareagowała natychmiastowym wysłaniem karetki? Cóż, źle oszacowała sytuację. Proces ciągnął się długo i w końcu bez orzeczenia o winie. Tego już nie obserwowałam zbyt dokładnie, bo wyjechałam do Polski.

Koniec roku 2019 i początek 2020 to były te straszne pożary w Australii. Z dymem poszło ponad 100 tysięcy kilometrów kwadratowych buszu (to 1/3 Polski). Zginęło 480 milionów zwierząt i ponad trzydzieści osób. Tymczasem już w listopadzie 2019 w chińskim mieście Wuhan zarejestrowano nową chorobę wywołaną nieznanym dotąd patogenem nazwanym SARS-CoV-2. Chorobie, którą wywołuje, ostrej niewydolności układu oddechowego, nadano nazwę COVID-19 (od ang. COronaVIrus Disease 2019) i zaczęło się! 30 stycznia 2020 roku Światowa Organizacja Zdrowia WHO ogłosiła stan zagrożenia dla zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym. 11 marca 2020 WHO ogłosiła globalną pandemię. Kilka dni później kolejne państwa zamykały granice. Na wiele miesięcy. Słowo *lockdown*, blokada, izolacja, stało się z sekundy na sekundę budzącym grozę pojęciem ogólnoświatowym.

Każdego człowieka na świecie pandemia zaskoczyła w pół kroku na jego własnej ścieżce życiowej. Grzegorz Zalewski w rozdziale "Światy osobne" notuje: "*Koniec czwartego miesiąca 'po'. [...] Szacuje się, że połowa młodzieży szkolnej na całym globie nie uczy się w szkołach. Stają kolejne zakłady pracy, usługi przestają się liczyć. Nagle do wielu ludzi dociera, w jak wygodnym świecie żyli i jak komplikuje się teraz sytuacja. Mnóstwo osób odczuwa utratę poczucia kontroli. Okazuje się, że nie na wszystko można mieć wpływ. [...] zagrożenie nie jest widoczne, jak jakieś monstrum w rodzaju tych z filmu 'Mgła' czy 'Ciche miejsce', łatwo je zignorować, uznać, że akurat nas nie dotyczy*".

Mnie dotyczy i to bardzo, pandemia uziemiła mnie w Szwajcarii na długie miesiące wbrew mojemu stylowi życia. I pomyśleć, że byłam świeżo po lekturze "Czarnego łabędzia" autorstwa "libańsko-amerykańskiego naukowca, matematyka, statystyka, ekonomisty oraz praktyka obrotu papierami wartościowymi, nowojorskiego profesora Nassima Nicholasa Taleba. Naukowiec ten łączy dorobek z zakresu nauk przyrodniczych, filozofii oraz zarządzania, koncentrując się na zagadnieniach analizy ryzyka niepewności, przypadkowości, losowości w gospodarce i życiu ludzi" (z info).

W roku 2007, tuż przed kryzysem finansowym 2008, Taleb opublikował swoje spostrzeżenia na temat zjawiska Czarnego Łabędzia. I, bach, krach! Dla niektórych ten kryzys był abstrakcją, we mnie uderzył. W 2014 roku ukazała się po polsku książka "Czarny Łabędź. Jak nieprzewidywalne zdarzenia rządzą naszym życiem". Jakiś czas potem ją przeczytałam. Definicja Taleba przybliża to pojęcie: "*Czarne Łabędzie, to nieprzewidywalne i nieregularne zdarzenia o ogromnej skali i potężnych konsekwencjach, nieoczekiwane dla każdego obserwatora [...] jeśli nie tylko go zaskoczą, ale zaszkodzą".* Taleb stawia tezę że *„historie tworzą przede wszystkim zdarzenia o randze Czarnych Łabędzi, podczas gdy my skupiamy się na jak najdokładniejszym zrozumieniu tego, co zwyczajne*". Dodajmy, że dzieje się to w skali makro i mikro.

Niektórzy myślą, że życia układa się w ciąg przyczynowo-skutkowy i jest jak wijąca się rzeka, od narodzin, po ujście. Linia: "*Któregoś wieczora rozmawiamy z A. o rozwoju człowieka. Jej terapeutka powiedziała, że życie jest liniowe i że śmierć tę linię kończy, więc szukamy porządku. Nie do końca się z tym zgadzam*" *(Grz. Z.).*

Też się nie do końca zgadzam. Powszechnie uważa się, że za nami przeszłość, przed nami przyszłość i stop, meta, śmierć. Ja jednak sądzę, że życie każdego z nas jest wpisanym w Czas od urodzin (bardziej nawet od zapłodnienia) sferycznym, bezcielesnym, więc bezkształtnym współistnieniem umysłowości (dla której ciało jest nośnikiemi i odbiornikiem bodźców poprzez zmysły), z otaczającą ją materią i energią. Właściwie na dobrą sprawę też zamyka się we wzorze E = mc2, mamy w nim bowiem wszystko, co potrzeba, łącznie z tym, że "nic w przyrodzie nie ginie".

Nie znaczy to, że wierzę w duszę, która opuszcza ciało i gdzieś się tam udaje, lub gdzieś krąży, umysł (duch) znika tak, jak znika prędkość w samochodzie, który *nomen omen* "oddał ducha". Opisałam to w relacji z pogrzebu Stanisława Lema.

Na ludzkie losy, Ludzkie Losy, wpływają "Czarne Łabędzie", nieprzewidywalne zdarzenia katastrofalne w skali makro, na pojedynczy Ludzki Los, wpływają Czarne Łabędzie w skali mikro, ale wpływają też "Szczęśliwe Przypadkowe Zdarzenia", czyli Koincydencje, także w skali makro i mikro. Zarówno w zderzeniu z jednym, jak i z drugim następuje, nazwijmy to, *przebąblowanie*, i nic już nie jest tak jak przedtem. Niespodziewana śmierć kogoś bliskiego, a już na pewno dziecka, jest takim strasznym Czarnym Łabędziem z kolosalnym skutkiem, życie rodziców, rozbija się, zamienia w kupę skorup i trzeba dużego wysiłku i umiejętności, żeby te skorupy jakoś pozbierać, uporządkować, posklejać - to funkcja woli, czasu i energii - a jeśli uda się to naprawdę dobrze, to mamy kintsugi, naczynie z bliznami, ale bliznami uszlachetniającymi, nie oszpecającymi.

Dzieci, którym zmarli rodzice, to sieroty. Dorosłych, którym zmarli rodzice, już nie nazywamy sierotami, to śmierć rodziców przed dziećmi to normalna kolej rzeczy, sieroty to opuszczone, bezradne, biedne, małe dzieci. Ale jak nazywać osieroconych rodziców? Są też opuszczeni, bezradni i w tym sensie biedni. Nie ma na to nazwy. Zauważa to autor "Nie pozwolę ci zniknąć". Język nie tyle jest tu ubogi, ile też bezradny, to jest sytuacja, której nie powinno być. Nie powinno być, a zatem nie ma nazwy. Język lubi różne uniki. Choćby ten, gdy mówimy na kogoś, kto umarł, że "odszedł". Odszedł nie jest tak definitywne, jak umarł. Odszedł, to może wróci, a jeśli nie, to przynajmniej gdzieś tam jest?

Nie lubię tego eufemizmu, jest jakieś takie zwodnicze, mydlące oczy. Ktoś, kogo zabrała (dopadła, spotkała) śmierć, znika. Dosłownie. Najpierw zanika w nim energia życiowa, a potem szybko trzeba usunąć ciało i wtedy znika bezpowrotnie. I zostaje ssąca próżnia, taka różnica ciśnień. Potrzeba czasu, dużo czasu, żeby się wyrównało. Tego, kto znikł, długo i boleśnie brakuje. Nie tylko człowieka, także psa, kota, a cóż dopiero człowieka!... Nie pozwolić komuś zniknąć, to pielęgnować jego pamięć. Pisanie o śmierci bliskiej osoby, z pewnością jest sposobem na to, żeby pamiętać. Ojciec Ulissesa pisze także o słuchaniu muzyki, jakiej słuchał syn, o noszeniu jego swetra, rękawiczek, o nielikwidowaniu jego konta na fejsie...

Tak, jest, odwiedziłam jego profil, czułam dojmujący smutek czytając książkę, ale serce mi się ścisnęło, gdy zobaczyłam jego zdjęcia, mój Boże, co?, co bolało go tak bardzo, że nie chciał, nie mógł żyć? Znajduję w książce dwa tropy, nad którymi sam autor się nie zatrzymuje. Mnie jednak zastanowiły:

Cytat 1, str. 24: *Często rozmawiałem o tobie ze znajomymi. O twoim sukcesie zawodowym, o tym, co udało ci się osiągnąć zupełnie samodzielnie, choć już to, jakim kosztem, widzę dopiero teraz. O nowych grach, które odkrywałeś i czasem przynosiłeś do wspólnej zabawy. Korciło mnie, że wziąć cię ze sobą na jeden z naszych męskich wyjazdów. Żebyś z nami pobył, pograł. Nie wyrażałeś entuzjazmu.*

Cytat 2, str. 67: *Dzień przed TĄ niedzielą rozmawiałem razem z Ulissesem. Wspomniał o swoim rozgoryczeniu pracą. O tym, że dostaje mnóstwo pieniędzy za nic. Nie odnajdywał dla siebie samego sensu w tym, co robił, choć przynosiło to korzyść firmie. Był cenionym pracownikiem. On jednak uważał, że wszystko można zautomatyzować, uprościć, wyeliminować część ludzi, którzy są niepotrzebni. Powiedziałem mu, że jednak dzięki temu ludzie ci mają*

pracę, pieniądze i bezpieczeństwo. Dookoła nas są setki osób spędzających czas na bezproduktywnych spotkaniach, lanczach, rozmowach czy konsultacjach. Wiele z tych wydarzeń można by kończyć po 10 minutach, a nie tracić godzin na rozbieranie na czynniki pierwsze zupełnie nieważnych tematów.

A teraz dwa cytaty z innej książki, którą akurat z początkiem pandemii 2020 czytałam pod błękitnym jak farbka niebem Zurichu. To "Praca bez sensu" lub "Gównopraca" Davida Graebera. Tytuł oryginalny "Bullshit Jobs", więc właściwie "Gównopraca", po polsku są dwa tytuły do wyboru, jak kto woli.

Cytat 1, str. 325: *...wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby pewna klasa ludzi po prostu zniknęła. [...] Gdybyśmy obudzili się pewnego ranka i odkryli, że nie tylko pielęgniarki, śmieciarzy i mechaników, ale do tego jeszcze kierowców autobusów, sklepikarzy, strażaków, albo kucharzy w barach szybkiej obsługi wymiotło do innego wymiaru, rezultaty byłyby katastrofalne. Gdyby zniknęli nauczyciele w podstawówkach, dzieci pewnie świętowałyby przez dzień lub dwa, ale długofalowe efekty byłyby bez mała jeszcze bardziej druzgocące. [...]*

Tego samego nie można powiedzieć o menadżerach funduszy hedgingowych, konsultantach politycznych, guru od marketingu, lobbystach, prawnikach korporacyjnych [...] z pewnością istnieją na świecie takie biurowce (jestem pewien, że każda osoba czytająca tę książkę byłaby w stanie z miejsca wskazać kilka), których zniknięcie ot tak sprawiłoby, że na świecie działoby się o wiele lepiej.

Cytat 2, str. 16: *Sposobem na łatwe rozeznanie się może być zadanie sobie pytania: "Co by się stało, gdyby cała klasa takich ludzi zwyczajnie zniknęła?" Cokolwiek by mówić o pielęgniarkach, śmieciarzach czy mechanikach, jasne jest, że gdyby rozpłynęli się w powietrzu, skutki byłyby natychmiastowe i katastrofalne. Świat bez nauczycieli, czy pracowników portowych szybko znalazłby się w tarapatach, a nawet ten bez pisarzy science fiction czy muzyków ska byłby gorszym miejscem. Nie jest do końca jasne, jak ucierpiałaby ludzkość, gdyby w podobnych okolicznościach zniknęli dyrektorowie generalni firm rynku kapitałowego, lobbyści, analitycy PR, [...], telemarketerzy, komornicy czy konsultanci prawni. [...] poza garstką profesji, które cieszą się poważaniem (jak lekarze) zasada sprawdza się zaskakująco dobrze. Jakby nie dość było perwersji, wygląda na to, że istnieje szeroko podzielane poczucie, że tak właśnie wszystko powinno się odbywać. To jedno z tajemnych źródeł siły prawicowego populizmu.*

David Graeber, amerykański antropolog, nie doczekał końca pandemii. Zmarł 2 września 2020 roku, nie na COVID*, w czasie pobytu z żoną w Wenecji na wakacjach w 60. roku życia. Dla mnie i z pewnością nie tylko dla mnie, ta wiadomość była szokiem (podobnie jak śmierć Jerzego Pilcha 29 maja 2020, też nie na COVID). To niepowetowana strata! Tak bardzo chciałabym znać jego przemyślenia na temat potrzebnych i niepotrzebnych zawodów po kolejnym roku pandemii. I jego prognoz na przyszłość (podobnie jak refleksji starszego ode mnie o półtora roku Pilcha na temat starzenia się).

Bo jedno jest pewne, świat już nigdy nie będzie taki jak przed pandemią. Czarny Łabędź tej miary zmienia rzeczywistość trwale. Ludzie z utęsknieniem wyglądają "normalności", ale ta "normalność' nie będzie tym, czym była przedtem. To będzie całkiem inna normalność. Oby była posklejana w duchu kintsugi, oby śmierć tych wszystkich ludzi (tych ujętych w statystykach jest dziś blisko 4,94 milionów!), którzy (w większości) żyliby, gdyby nie śmiertelny wirus, miała sens.

Graeber pisze o tym, jak frustrująca jest taka "gównopraca". Mówi o "głębokiej psychicznej przemocy" wobec ludzi, którzy przez pięć dni w tygodniu wstają tylko po to, żeby wykonywać pracę, która jest bezsensowna, głupia, a często też cyniczna, bo chodzi o wciskanie ludziom kitu. I żadne pieniądze tego nie wynagradzają, przynajmniej nie tym, którzy choć trochę reflektują swoje położenie. Cytuje maile i komentarze, jakie spływały do niego, gdy poruszył ten temat. Oto kilka z nich:

- Łał! Prosto w sedno! Jestem prawnikiem korporacyjnym (a ściślej zajmuję się reprezentacją przedsiębiorstw w postępowaniach z urzędem podatkowym). Niczego nie daję temu światu i przez cały czas jestem dogłębnie nieszczęśliwy. (str. 19)

- Pracuję w bardzo dużej amerykańskiej firmie z siedzibą w Londynie, zajmującej się postprodukcją. W mojej pracy są elementy, które zawsze sprawiały mi przyjemność i dawały poczucie spełnienia - dzięki mnie samochody latają, budynki eksplodują, a dinozaury atakują statki kosmitów na potrzeby studiów filmowych, a to zapewnia rozrywkę widzom na całym świecie. Jednak ostatnimi czasy rosnący odsetek naszych klientów stanowią agencje reklamowe. [...] Redukujemy kobietom worki pod oczami, nadajemy włosom większy połysk, wybielamy zęby [...] Za to dostaję sto tysięcy funtów. [...] Podaż znacznie przerosła popyt w większości branż, tak że dzisiaj to pobyt jest tym, co się produkuje. [...] trudno określić to inaczej, niż jako pracę ściemę. (str. 83 i 84)

- Moja praca dziekana była bez sensu z tego samego powodu, dla którego stanowiska wszystkich niedecyzyjnych dziekanów, prorektorów i inne "strategiczne" posady na uczelniach są etatami bez sensu. (str. 108) I na kolejnej stronie komentarz Graebera: "Chloe nie miała autentycznej władzy, wszystko to było grą cieni bez znaczenia".

- W organizacjach, w których mam do czynienia z usystematyzowanymi klasyfikacjami i opisami stanowisk, musi istnieć określona posada, na którą się kogoś rekrutuje (to cały osobny zawodowy kosmos prac ściem i wymyślonych bzdur. Przypomina świat osób piszących wnioski o granty lub dokumenty przetargowe). (str. 113)

Itd. itp. Rozdział "Dlaczego osoby wykonujące prace bez sensu regularnie zgłaszają, że czują się nieszczęśliwe? (o przemocy duchowej, część 1)" otwiera motto: "Miejsca pracy mają w sobie faszyzm. To kulty, których celem jest pożreć wasze życie; szefowie zazdrośnie gromadzą wasze minuty, tak jak smoki złoto". (autor: Nouri, str. 125)

Nie przypadkiem wspomniałam wcześniej o czasie, Czasie, który jest nam dany, każdemu człowiekowi z osobna jego własny, jedyny taki wycinek na całą wieczność. Świadomość, że ktoś mi go zabiera, dałam się zmanipulować, oszukać, wmanewrować, zaprząc, że nie jestem panią swojego czasu, ja, która jestem bardzo zazdrosna o swój czas, tak bardzo, że nigdy nie pracowałam na etacie, uważałabym za zabójczą. Jasne, pieniądze są ważne, trzeba mieć ten ekwiwalent do wymiany za pracę innych, ale jednak o wiele ważniejsze jest poczucie sensu własnego bytu. Pieniądze w wielkiej ilości może nawet czasami dają szczęście, wbrew obiegowej sentencji, ale nie dają stałego poczucia sensu, sens życia leży zupełnie gdzie indziej.

Nie wiem, czy nie stawiam zbyt pochopnej diagnozy na podstawie nikłych poszlak, może to tylko moja projekcja, ale jest jeszcze coś. Na stronie 23 "Nie pozwolę ci zniknąć" czytam: "Można było odnieść wrażenie, że jesteś

nieustająco głodny". Nie chcę tej informacji naginać pod tezę, że Ulisses miał jakiś poważny deficyt ("pracę bez sensu"?) i z tego powodu cierpiał nie do wytrzymania, ale jednak jest to jakoś symptomatyczne. Zresztą nikt mnie nie prosił o szukanie powodów decyzji Ulissesa, po prostu w miarę czytania zaczęłam się nad tym zastanawiać, co go skłoniło do tak fatalnie nieodwracalnego kroku. Co w ogóle jest przyczyną wzrastajacego odsetka młodych ludzi, którzy nie chcą żyć.

Może śmierci Ulissesa - Ulisses, co za imię! - należałoby nadać taki sens, żeby przyjrzeć się pod takim kątem poczuciu bezsensu wchodzących w dorosłe życie ludzi? Czy to, co wyrapowuje nam w twarz Mata, nie o tym właśnie jest? O tym, jaki świat zastają kolejne pokolenia? I co mają z tym zrobić? W rapie Maty są to wychowankowie elitarnej szkoły, przyszłe patokadry patosystemu ćpają, chlają, jebią, klną i mają "na wszystko wywalone", jeśli nic się nie zmieni, pokończą szkoły, wykształcą się na cynicznych drani, podejmą gównoprace za gigantyczną kasę i zrobi się jeszcze głupiej, gorzej, drapieżniej... Ilość wyświetleń "Patointeligencji" 21.10.21 5 minut po północy to 56 042 674.

Bo jednak nie wszyscy są tacy, są i ludzie utalentowani, wrażliwi, widzący i czujący więcej, w każdym pokoleniu tacy się rodzą, czasem rodzi wśród nich czuły dla ptaków Ulisses, czasami poeta, może taki Mata właśnie, jak wtedy, gdy ja byłam młodzieżą Bob Dylan, i opiewa, co widzi wokół, podstawia światu lustro, a tu z lustra wyskakuje Joker z filmu "Joker" Todda Phelpsa i śmieje się niekontrolowanym śmiechem. Niektórzy się oburzają na utwór "Patointeligencja", widzą w nim hymn "zepsutej młodzieży", skandal, krzyczą, skandal! To ci, którzy nie rozumieją słowa "patointeligencja"... Jednak czy Mata to też nie pato? Bo tymczasem mamy nowy skandal, Mata reklamuje bigmaca. Czyżby nawet Mata, jako ten raper, dał się złapać na blichtr złotego łańcucha u szyi? Jedna z matek komentujących na fejsie pisze:

- A to widzisz, ja się o dealu Maty z McDonaldem dowiedziałam od córki. Ważny był dla niej klimatyczny i środowiskowy kontekst tego wyboru i przy okazji opowiedziała mi o jakichś młodzieżowych gwiazdkach, które dorabiają się na braku zaangażowania w sprawy ważne, choć mogłyby mieć wpływ. (AS)

Otóż to, młodzież nie jest durna, w każdym razie nie cała, codziennie słyszy o nieowracalnych szkodach, jakie człowiek serwuje środowisku, o zatruwaniu gleb i wód, o górach śmieci, o tonach plastików w morzach i oceanach. O przestępczym darknecie. O trudnych do wyobrażenia cierpieniach zwierząt w przemysłowych hodowlach i ubojniach. O ginących gatunkach zwierząt. O tym, że wróble poznikały z miast, że wkrótce może nie być pszczół. O pogłębiających się nierównościach społecznych. O tym, że COVID sami ściągnęliśmy na siebie, bo habitat zwierząt nie powinien stykać się z habitatem ludzi. Matki rodzą dzieci, ale to zadaniem ojców jest chronić ich świat, ich przyszłość. Choć nie wiem, jak to zrobić, nie jestem ani matką, ani ojcem i dożywam swojego czasu.

Książka pisze się dwa razy, raz pisze ją autor, drugi raz czytelnik. Gdybym chciała spisać tyle myśli, ile myślało mi się przy czytaniu zamkniętej historii Ulissesa i otwartej na przyszłość bez Ulissesa jego ojca (i matki), musiałabym napisać przynajmniej tak samo pojemną książkę. Ulisses nie zniknie, jak nie niknie jego mityczny imiennik, zostanie w mojej pamięci jako głęboko wypalony mem, zostanie w czytelnikach odysei "Nie pozwolę ci zniknąć", życzę jej jak najwięcej czytelników. I ja karmię ptaki z mojej okolicy, mają w moim ogródku swój karmnik, właśnie dzielę się z nimi orzechami, choć uwielbiam orzechy i w przeciwieństwie do Ulissesa nie mam na nie alergii. Teraz, odkąd poznałam Ulissesa, myślę o nim, gdy wysypuję ptakom pokruszone orzechy.

W dzień przed śmiercią Ulissesa jego ojciec odkrył piosenkę "Wiśnia" Kaśki Sochackiej, 12 godzin później dołączył ją do informacji na fejsbuku z krótką informacją o śmierci syna... "...dla Was, żeby o nim pamiętać", teraz i ja ją odkryłam:

https://www.youtube.com/watch?v=gsl69na5ltc

Podobno w Rzymie napadało gradu

aż po kolana

W Japonii wiśnie zakwitły

o dwie pory roku wcześniej

a ja tęsknię

a ja tęsknię

a ja tęsknię

a ja tęsknię

a j